

Jedną nogą w niebie

9 listopada to dla mnie data szczególna. Dzisiejszy dzień, to data premiery trzeciej i ostatniej już części zamykającej sagę „Stajnia w Pieńkach”. To naturalne, że wydaniu każdej książki towarzyszą emocje, ale tym razem są wyjątkowo silne, bo to pierwszy w moim życiu powieściowy cykl. Chwila, w której kończę powieść zawsze jest dla mnie momentem szczególnym, zwłaszcza gdy ma ona aż trzy tomy, a jej bohaterowie towarzyszyli mi blisko przez rok. Trylogia to już nie były przelewki i choć nadal, podobnie jak wszystkie poprzednie książki, pisałam ją bez konspektu i bez planu, tym razem nie mogło obejść się bez fachowej pomocy oraz konsultacji w wielu zagadnieniach, o których wcześniej nie miałam pojęcia.

Chcąc, by seria „Stajnia w Pieńkach” wypadła wiarygodnie, musiałam naprawdę wiele się nauczyć. Na szczęście miałam kogo zapytać, a i wszyscy chętnie służyli mi bezinteresowną pomocą.

Za co wszystkim serdecznie dziękuję.

Moi mili. Bez Was by tej powieści nie było 😊

Zarządzanie stadniną to wcale nie taka prosta sprawa, więc chciałabym niniejszym podziękować Wiesławowi Krzywickiemu-prezesowi Klubu Jeździeckiego „Amazonka” oraz właścicielowi stadniny koni w Borkowie za przekazanie mi obszernej branżowej wiedzy.

W kwestii hodowli koni oraz szeroko pojętych zagadnień z zakresu weterynarii z pomocą pospieszyli też:

- lek. wet. Ewa Duch- Inspektor ds. Zdrowia i Ochrony Zwierząt w Wojewódzkim Inspektoracie Weterynarii w Krakowie;
- dr n. wet. Piotr Żmuda – Prezes Małopolskiej Izby Lekarskiej Weterynaryjnej;

– lek. wet. Martyna Grzybowska-Krupa – Kierownik Gabinetu Weterynaryjnego PRO VIVO ANIMALI w Krakowie.

Pragnę również bardzo podziękować panu Dominikowi Wojtanowi z gospodarstwa agroturystycznego „Na Zagrodzie” w Lubniu, ponieważ bez jego ogromnej wiedzy praktycznej na temat hodowli strusi, w Pieńkach wcale by ich nie było.

Nie myślcie sobie również, że procedury towarzyszące wykopaniu starych kości nie nastroczają merytorycznych problemów 😊 Na szczęście tutaj nieoceniona okazała się wieloletnia wiedza pana Henryka Mikiny z Firmy Pogrzebowej „Lotos” w Dąbrowie Górniczej.

Sama konno nie jeżdżę, ale na szczęście mam w domu trójkę wytrawnych jeźdźców, dla których „końska” nomenklatura nie ma żadnych tajemnic, zatem dziękuję też Zbyszkowi, Zuzannie i Alicji, bo dzięki nim świetnie wiem co to uwiąz, kantary i pusliska oraz cała reszta jeździeckiego wyposażenia.

Nie chciałabym pominąć nikogo, kto trzymał za mnie kciuki, nie mogę zatem nie wspomnieć mojego ulubionego redaktora prowadzącego z Wydawnictwa Prószyński i S-ka Michała Nalewskiego, który od dawna dzielnie znosi moje dziwne pomysły i zawsze służy dobrą radą w nielicznych chwilach twórczej blokady.

Na koniec nie sposób nie wspomnieć o wsparciu, jakie regularnie otrzymuję od moich najlepszych na świecie Czytelników. Do tego ciągle rosnący w siłę fanklub zrzeszający cudownych ludzi, sprawia że chce mi się robić to co robię. To wszystko dla Was.

Dziękuję Kochani, że jesteście, bo to dzięki Wam jest moc! <3

Iza 😊

Stajnia pod Jurnym Drwałem

Chcecie wiedzieć skąd wzięła się saga „Stajnia w Pieńkach”? W przeddzień premiery chętnie Wam to opowiem, rada, że w końcu ludzie przestali zadawać mi nieśmiertelne pytanie, jak to się stało, że ekonomistka zaczęła pisać książki 😊 Na powyższe pytanie odpowiedziałam niezliczoną ilość razy, a przecież piszę książki od 7 lat, więc to już żadna nowość.

Wiecie, że ja lubię się śmiać i lubię humor, więc odpowiadając na pytanie o inspirację do stajennej sagi, nieco Was zaskoczę.

Do napisania tej trylogii zainspirowała mnie śmierć...

Pewnego lata, goszcząc z rodziną na wakacjach w zaprzyjaźnionej stadninie w Borkowie, byliśmy świadkami śmierci źrebaka. Od samego początku był pechowy. Urodził się w piątek trzynastego, przyszedł na świat z trudnościami, kobyła ciężko przeszła poród. Mały nie chciał jeść. Same kłopoty, ale przez to stał się ulubieńcem wszystkich, aż po trzech miesiącach padł ofiarą skrętu jelit. Dziesięć godzin weterynarze walczyli o jego życie. Bez skutku, nie przeżył nocy. Płakaliśmy wszyscy. Następnego dnia popędziłam quadem odreagować na tamtejsze bezkresne bezdroża i tam mnie natchnęło, by jakoś ocalić tego biednego malucha od zapomnienia. Tak właśnie urodził się „Koncert...”, a później reszta.



Nie wiedziałam, że mi wyjdzie z tego trylogia, ale po pierwszych 400.000 znaków uznałam, że to jeszcze nie koniec. Tak polubiłam Magdę oraz pozostałych bohaterów, że towarzyszyli mi w sumie przez dwanaście miesięcy i chyba nie muszę pisać, jak smutno i łyso mi było, gdy zamiast CDN nareszcie napisałam KONIEC. Z jednej strony odetchnęłam i przysięgłam sobie, że już nigdy więcej pisania o gospodarskim inwentarzu, a z drugiej strony poczułam się jak jakaś bezdomna, której ktoś odebrał coś bardzo bliskiego.

Nie ukrywam, że to pierwsza powieść, przy której musiałam nauczyć się aż tak wiele. Zaczęło się od stadniny w Borkowie i KJ Amazonka. Później na drugi ogień poszła ferma strusi państwa Wojtanów w Lubniu, następnie Państwowa Inspekcja Weterynaryjna, Związek Hodowców Koni i gabinet weterynarii Pro Vivo Animalii wraz ze świętej cierpliwości właścicielką Martyną Grzybowską- Krupa. Do tego mnóstwo konsultacji przez Internet i telefon.

W temacie przydomowej hodowli kur jestem już lokalną specjalistką, a tajniki sportowego ujeżdżania krów w niczym już mnie nie zaskoczą 😊

A wiecie skąd wzięły się Pieńki?

Bardzo długo kombinowałam nad tytułem. Stajnia pod Złotą Podkową, Pod Srebrnym Kopytem, Pod Zardzewiałym Hufnalem, Pod Krzepkim Kowalem, Pod Jurnym Drwalem... ech, zanotowałam sobie milion totalnych, beznadziejnych banałów, aż doszłam do sceny, w której stajenny Zdzichu, w sztok zalany padł przy bramie i w pijackiej malignie przytulił się do oblepionego żywicą pniaka. Tu mnie olśniło z tymi Pieńkami i tak zostało. Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby to sprawdzać na mapie 😊

Przy pisaniu bawiłam się świetnie, poznałam wspaniałych ludzi i wiele się nauczyłam, ale na sam koniec zostawiłam sobie dla Was pewną perełkę. No właśnie! BOMBĘ MAM!

Dokładnie kilka dni temu, przez zupełny przypadek natrafiłam na prawdziwą stajnię w Pieńkach! Aż nie mogę uwierzyć, że coś, co wymyśliłam, rzeczywiście istnieje! Prawdziwa Stajnia w Pieńkach leży w gminie Michałowo, a Agnieszka i Stanisław Jaworscy świata nie widzą poza swoją konną agroturystyką. Już nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie ich odwiedzę i na własne oczy zobaczę te moje, jakże bliskie mi, kochane i autentyczne Pieńki!

I jak tu nie kochać tej roboty? 😊 No, powiedzcie sami...



Jak się rodzi powieść



Często pytacie mnie o genezę powstania moich książek, a ja równie często mam problem, żeby sensownie na takie pytanie odpowiedzieć. Zazwyczaj są to po prostu impulsy, ale w przypadku „Do trzech razy sztuka” było inaczej 😊

A to było tak... Wymyśliłam kiedyś sobie, że napiszę głupkowatą komedię. No i napisałam. Zbankrutowani bracia. Makler i detektyw oraz dwie panie architektki rywalizujące ze sobą od zawsze. Jedna z cudnym życiem u boku wspaniałego faceta, plus udane dzieci. Do tego zarabiająca masę pieniędzy i wygrywająca w cuglach wszystkie branżowe konkursy. Druga nieszczęśliwa i zawsze w tyle o dwa kroki. No i porwanie dla okupu, by finansowo podratować i detektywa, i maklera. Intryga cud miód, tylko się maklerowi pomyliło i porwał tę drugą, biedną. No i zaczęły się hece. Syndrom sztokholmski na wesoło. I wiecie, co się wtedy stało? Mój ulubiony redaktor prowadzący z wydawnictwa powiedział, że w życiu się nie spodziewał, że jestem w stanie napisać coś tak durnego i że czeka na coś, gdzie jest dużo więcej „Frączyk”.

Ech, nie ma to jak wkurzyć pisarza, zwłaszcza w wakacje, kiedy

ma dużo czasu, bo dzieci na obozach, mąż w delegacjach, nie trzeba gotować, a zwierzaki mogą jechać na suchym. Tak się wkurzyłam, że IQ mi skoczyło o 200% i zaczęłam kombinować, o czym by tu napisać, by nie robić research'u i żeby było szybko. Mam! Bingo! Korporacja! Przecież znam to od podszewki. Korporacyjne klimaty towarzyszyły mi przez wiele lat, a czego się nasłuchałam od znajomych to nawet nie wspomnę. Połączyłam w jedno klimaty z dwóch dobrze znanych mi firm i wyszło mi świetne tło dla przygód i perypetii mojej Anki. A skąd imię? A to na cześć jednej takiej miłej Anny Piotrowskiej, która administruje moim fanklubem na Facebook'u i jest po prostu świetna 😊 Pozdro Ania!

Dość na tym, że z tej złości napisałam całą książkę w miesiąc, nawet nie wiedząc, że przekaz będzie aż tak czytelny. Zawód handlowca, jawiący się większości jako zwykły lans w służbowej furze, jest jednym z trudniejszych zawodów świata. Łączy w sobie wiele profesji. Od kierowcy począwszy, poprzez psychologa, niańkę, organizatora, dostawcę, magazyniera, mediatora, księgowego, a na kierowniku swojego rewiru skończywszy. Jeśli dodamy do tego taksówkarskie przebiegi w każdych, nawet i ekstremalnych warunkach, permanentny stres, presję planu sprzedaży, humorzastych klientów i bezlitosny rynek, wyjdzie nam z tego naprawdę ciężki kawałek chleba. Od tego właśnie zaczynałam. Dawno temu. Zatem czas wreszcie pokazać, jak to jest być w korpo 😊

Zapraszam do lektury fragmentu powieści „Do trzech razy sztuka”

Marta, jak się okazało szefowa przedstawicieli handlowych zwanych naprzemiennie pechowcami lub repami, była wulkanem energii. Sprawna, świetnie zorganizowana i bardzo rzeczowa. Przejęta Anka chłonęła wszystko jak gąbka, choć nie rozumiała nawet połowy z branżowego nazewnictwa. Chwilami czuła się jak na tureckim kazaniu i skrzętnie notowała, czego nie rozumie. W nadchodzących dniach miała pracować z Adrianem, który finalnie

okazał się być świetnym fachowcem, a jego znajomość rynku przyprawiała o zawrót głowy. Z większością swoich klientów był po imieniu, miał niezłą renomę i na wieść o jego odejściu niejednej farmaceutce zakręciła się łezka. Do tego jak z karabinu strzelał cenami i cyfrowymi kodami całego dostępnego asortymentu. Anka była pod wrażeniem, a gdy na koniec dnia podyktował jej z pamięci dzienny raport wizyt, sypiąc jak z rękawa kilkunastoma adresami i nazwiskami, nie wytrzymała.

– Jak ty to robisz? Jakim cudem ty to wszystko pamiętasz?

– Normalnie. Za kilka miesięcy też będziesz tak mieć. To przyjdzie samo, ale na początku musisz wszystko notować, bo później zapomnisz.

– Jasne – mruknęła bez przekonania. – A kto to jest rep?

– Pechowiec – Adrian uśmiechnął się świadom, że zapędma koleżankę w kozi róg.

– Nie rozumiem, skąd ta nazwa.

– To proste. PH to skrót od przedstawiciela handlowego, więc wychodzi „pechowiec”, to jest to samo co rep, żeby nie łamać sobie co chwila języka na angielskim „sales representative”.

– Aaaa – kiwnęła głową ze zrozumieniem, bo wcześniej nijak nie mogła pojąć, co praca ma wspólnego z pechem.

– Mam nadzieję, że już wiesz, kto jest twoim najważniejszym klientem?

– Nie wiem, przecież dopiero zaczynam i jeszcze nie znam wszystkich.

– Jego już znasz – Adrian tajemniczo ściszył głos. – To twój szef. To jemu codziennie sprzedajesz swoją pracę, postaraj się więc, żeby nic ci nie uciekło. Notuj, notuj i jeszcze raz notuj, a notes musi się stać twoim najlepszym przyjacielem. I najważniejsza rada.

– Jaka?

– Nigdy niczego klientowi nie obiecuj, jeśli nie masz stuprocentowej pewności i pięciu podpisów wszystkich członków zarządu, że możesz mu to dać.

– Matko, a ty masz tę pewność?

– A słyszałaś, żebym komuś coś obiecał?

– Nnno, nie. Mówiłeś, że zrobisz co w twojej mocy.

– No właśnie, a mocy sprawczej nie mam, ale za to mam dobrą pamięć i gruby notes. I jeśli tylko uda mi się spełnić prośbę klienta, ten będzie się czuł tak, jakbym spełnił obietnicę, której nigdy mu nie złożyłem. A jak nie dam rady, to trudno. Nikt nie zarzuci mi nieuczciwości, bo przecież niczego nie obiecałem. Tak to działa.

– I to działa? – Anka była pełna uznania. Skończyli kawę i chciała już wstać od stolika, ale Adrian powstrzymał ją gestem dłoni.

– A zauważyłaś może coś szczególnego? Jakaś refleksja z twojej strony?

– Tak. Zauważyłam, że traktujesz każdego klienta w taki sposób, jakby był jedynym klientem na świecie. I oni to lubią – uśmiechnęła się szeroko.

– Widzę, że będą z ciebie ludzie – Adrian przybrał protekcyjny ton. – Pamiętaj jednak o firmie. To nasza matka i to ona nas karmi, i niech cię ręka boska broni w jakikolwiek sposób naruszyć jej dobre imię. Wszyscy mamy tu misję do wypełnienia i powinniśmy być tego świadomi.

– Dzięki Adrian – powiedziała posłusznie, ale uznała, że pod koniec kolega zdrowo przesadził. Niewątpliwie był doskonałym fachowcem, ale jego wypowiedzi na wskroś przesiąknięte korporacyjną indoktrynacją na temat misji, firmowej tożsamości

i innych bzdur sprawiły, że Anka tylko przez grzeczność kiwała głową. Patrząc na to, z jakim namaszczeniem Adrian gładzi firmowe logo na okolicznościowym wiecznym piórze, nabrała pewności, że kolega przeszedł więcej niż skuteczne pranie mózgu. Całe szczęście jej to nie groziło, a przynajmniej miała taką nadzieję.